

**Jadwiga Goraj**

**Moja podróż sentymentalna: Lwów – Łuck – Przebraże – Koszyszcze – Krzemieniec**

Sobota 13 wrzesień 2008

O tej podróży myślałam od lat, choć zapamiętane z dzieciństwa opowieści i miejsca wydawały się mityczne, jak najpierw Arkadia, potem Atlantyda, zniszczona przez morze nienawiści, ognia i krwi. Kiedy w gablocie Stowarzyszenia Kresy zobaczyłam w programie jednej z wycieczek nazwy Łuck, Przebraże, poczułam gwałtowne bicie serca. A więc te miejsca istnieją. Tam można dotrzeć. Do planowanej wycieczki nie doszło. Było za mało chętnych. Ale poznana w Stowarzyszeniu Basia Dębowska, powiedziała, że we wrześniu wybiera się do Lwowa i Łucka i mogę z nią jechać. Była tam kilka razy, ma adresy kontaktowe i znajomych, więc może pomóc w dotarciu do miejsc związanych z historią mojej rodziny.

I oto po nocnej podróży autobusem z Krakowa przybywamy rano 13 września do Lwowa. Pogoda niestety nam nie sprzyja. Jest chłodno i pochmurno. Jedziemy kolejno dwoma trolejbusami do p. Ali, Polki, u której mamy zamówione noclegi wraz z wyżywieniem. Stan pojazdów, którymi jedziemy, jak i następnych, którymi będziemy się przemieszczać, delikatnie mówiąc, zadziwia nas, a czasem bawi. Trudno określić z jakiej epoki niektóre pochodzą. Dość, że zgrzytają i trzęsą, siedzenia mają czasem z blachy, a czasem jakby ze starych kanap. W każdym jest konduktorka, którą poznaje się po fartuchu w kropki. Zakupiony bilet, bardzo zresztą tani 0,75 hrywien na trolejbus a 1,50 na autobus, kasuje się w czymś, co przypomina dziurkacz, podnosząc skrzypiący wihhajster. Ale ludzie są życzliwi, chętnie próbują doradzać, jak dojechać, gdzie najlepiej wysiąść. Inna sprawa, że czasem bezradnie głowią się, bo na przystankach nie ma żadnych tabliczek z opisem trasy i godzinami odjazdów. Na razie jednak udało się nam bez kłopotów dotrzeć do celu. Pani Ala mieszka w zabytkowej kamienicy, z ładną fasadą, ale od lat nie remontowanej i zdewastowanej do tego stopnia, że przy otwieraniu bramy bałyśmy się, czy nie wypadnie razem z futryną. Po skrzypiących uszkodzonych schodach dotarliśmy do wewnętrznego krużganka, z którego wchodzi się do naszej gospodyni, bezpośrednio do kuchni, bo nie ma przedpokoju. Mimo ukończonych 76 lat pani Ala okazała się kobietą energiczną, wesołą, rozmowną, wręcz gadułą. Przyjęła nas serdecznie, od razu zapraszając do śniadania. Podziwu godne były jej zabiegi, żeby nas ugościć. Bardzo małe pensje i emerytury przy cenach porównywalnych z naszymi, sprawiają, że trzeba mocno się starać, żeby było co postawić na stole. Toteż p. Ala wstawiała wczesnym rankiem, żeby usmażyć na śniadanie jakieś placuszki z serem czy jabłkiem. A na obiad raz jadłyśmy mielony sznycelek z kurczaka, a na drugi dzień krokiety nadziewane mięsem z tegoż. Ile tam naprawdę było mięsa, to tajemnica naszej gospodyni. Później przekonaliśmy się, że najczęstsze dania obiadowe to różne „warienia”, czyli pierogi, zwłaszcza „pielemienia” – pierożki z nadzieniem mięsnym, „soczne”, czyli bardzo tłuste nierzadko podawane z octem.

Mieszkanie p. Ali b. wysokie, od lat nie odnawiane, ale utrzymane w czystości, to oprócz kuchni dwa pokoje w amfiladzie. W jednym, malutkim, gospodyni spała razem z dorosłą wnuczką – studentką, a w drugim, dość długim Basia i ja.

Po odświeżeniu się i posiłku wyruszyliśmy do centrum. Szerokie ulice, z zabudowaniami kiedyś eleganckimi, czego ślady widać do dziś, teraz najczęściej zaniedbane wyglądają smętnie. Może,

gdyby było słońce, wrażenie byłoby mniej przygnębiające. W dodatku te akcenty hołdu dla UPA i Bandery! Ulica jego imienia, pomnik, a na murze napisy np. UPA - Gieroj!

Ale Starówka emanuje dawnym duchem. Górują nad nią wieże i kopuły kościołów, cerkwi, a zwłaszcza jak nigdzie – trzech katedr. A na placu swojego imienia czuwa Mickiewicz. Zwiedzamy kolejno katedry. Najpierw łacińską, w której ślubował Jan Kazimierz i znajdującą się obok kaplicę Boimów, zabytek klasy zerowej, wręcz artystyczną szkatułkę, potem imponującą greko-katolicką katedrę św. Jura i wreszcie ormiańską – piękną i oryginalną, świadczącą o wpływach wschodnich na tym terenie. Jako że sobota, to dzień na Ukrainie najczęściej wybierany na śluby, spotykamy wiele młodych par, fotografujących się, zmierzających do cerkwi lub którejś z katedr. Wchodzimy do kilku i przyglądamy się ceremoniom. Szczególnie podoba nam się scena przed katedrą ormiańską, kiedy młodożeńcy po wyjściu ze świątyni obrzucani płatkami kwiatów, wypuszczają parę białych gołębi, a następnie rzucają garście czekoladowych cukierków. Udaje się nam nawet po jednym złapać.

Naszą uwagę przyciąga też piękna sylwetka Arsenatu na Podwalu. Na placu przed nim stoi rzeźba Fiodorowa, pierwszego ukraińskiego drukarza. Jest jak inne pomniki, które zobaczymy, nazbyt monumentalna. W jej pobliżu tutejsi bukiniści na prowizorycznych stoiskach, czasem wprost z foliowej płachty, sprzedają stare książki, czasopisma, medale i inne starocie.

Podziwiamy imponującą wielkością, elegancją kompozycji i dekoracji bryłę opery lwowskiej. Można ją zwiedzać, ale nam udaje się tylko zajrzeć do środka, bo zbliża się czas jej zamknięcia.

Niedziela 14 wrzesień

Zachęczone relacją p. Ali o walce Polaków o odzyskanie kościoła św. Marii Magdaleny, w którym na razie mają prawo tylko do jednej mszy w niedziele i święta, wybieramy się tam z Nią na niedzielne nabożeństwo. Wzruszające jest witanie się Polaków już w trolejbusie. Wszyscy się znają i rozmawiają przed mszą i po wyjściu z kościoła. W czasie nabożeństwa śpiewa chór dziewcząt z polskiego gimnazjum prowadzonego przez siostry zakonne.

Po mszy, spacerem, bo to dość blisko, idziemy na dworzec sprawdzić pociągi do Łucka. Okazuje się, że jest tylko jeden i to w nocy, więc pozostaje tylko autobus. Z przyjemnością rozglądam się po hali dworca i jego otoczeniu. Jerzy Janicki pisał we wspomnieniach, że był on wizytówką Lwowa. Jest rzeczywiście ładnie wkomponowany w przestrzeń, ma piękne proporcje, jest przestronny i jasny. Blisko dworca znajduje się kościół św. Elżbiety, sławny z lwowskiej piosenki żołnierskiej i swojej sylwety, szczególnie strzelistych wież, wzorowany na wiedeńskiej katedrze św. Stefana. Akurat w trakcie odnowy, ale na szczęście otwarty i możemy wejść do środka. Obecnie jest to cerkiew greko-katolicka i jej wystrój nie bardzo harmonizuje z neogotyckim wnętrzem.

Spod dworca jedziemy „marszrutką”, w kierunku Cmentarza Łyczakowskiego. Z końcowego przystanku, nie bardzo wiedząc, jak dojść, brniemy przez błotniste ścieżki raczej zaniedbanego parku, to pod górkę to z górki i wreszcie dochodzimy do bocznej bramki. Musimy potem długo szukać głównej alei, ale też w niezamierzony sposób uniknęliśmy kupowania biletów. Najpierw docieramy do kwatery wojskowej i Cmentarza Orłąt. Pod pomnikiem są świeże kwiaty a w pobliżu grupa studentów polskich odmawia z księdzem różaniec. To pielgrzymka duszpasterstwa akademickiego z Warszawy. Wędrując alejkami, podziwiamy piękne stare rzeźby, próbujemy odczytywać zatarte napisy. Odnajdujemy groby sławnych Polaków: Goszczyńskiego, Orдона, Grottgera, Konopnickiej, Zapolskiej. Rażą nas zakłócające charakter tego cmentarza i odbiegające od

artystycznego poziomu dość toporne i wg jednego schematu nagrobki z epoki minionej. Rzeźby jakby z naszego Pałacu Kultury albo duże naniesione na ciemny kamień czarne podobizny zmarłych.

Z cmentarza kierujemy się do Starówki. W sympatycznej kawiarence, krzepimy się ciastkami i herbatą. A po powrocie do naszej kwatery z grubsza pakujemy się, bo nazajutrz rano wyruszamy dalej.

Poniedziałek 15 wrzesień

Mamy problemy z dojazdem do Stryjskiego Wokzała, czyli dworca autobusowego. Najpierw wsiadamy do trolejbusu, ale okazuje się, że jedzie w innym kierunku, potem szukamy jakiegoś przystanku i informacji. W końcu, żeby zdążyć bierzemy taksówkę za jedyne 20 hrywien.

Autobus się nie spieszy, staje w różnych miejscowościach, często na życzenie wysiadających. Ale dzięki temu możemy poobserwować ludzi. Są przywoicie ubrani, uczynni, np. gdy zrobiło się tłoczno, podają nawet z końca pieniądze za przejazd, potem przekazują sobie bilety. Wysiadając, jakoś tak pięknie, mówiąc chyba "błagodaria" żegnają się z innymi.

Do Łucka przyjeżdżamy po południu i zatrzymujemy się w hotelu Świtez. Dostajemy pokój na trzecim piętrze. Jest w miarę czysto, w oknie elegancko udrapowana firanka, za którą jednak okno jest wyjątkowo spaczne, z ramami odstającymi od futryny. Miałyśmy więc przez cały czas aż w nadmiarze świeże powietrze i w ogóle nie trzeba było wietrzyć, zresztą nie było klamek, by okno otworzyć. Wykorzystałyśmy hotelowe ręczniki, aby uchronić się od tego nadmiaru. W łazience obita wanna, ale czysto i przede wszystkim gorąca woda i też gorący kaloryfer ręcznikowiec, dzięki czemu mogłyśmy wysuszyć przemoknięte obuwie i okrycia.

Basia od razu zadzwoniła do swoich przyjaciół, umawiając spotkanie w Stowarzyszeniu Kultury Polskiej na Wołyniu im. Ewy Felińskiej, a potem wyszłyśmy na mój pierwszy spacer po tym znanym z rodzinnych wspomnień mieście. Szkoda że ciągle padało i spod parasola niewiele dało się zobaczyć, a na ulicach stały wielkie kałuże i trzeba było uważać, żeby w nie nie wejść. Dotarłyśmy do łuckiego deptaku, przy którym mieszczą się bardziej eleganckie sklepy i różne biura m.in. redakcja „Gazety Wołyńskiej”, a dalej do ulicy Łesi Ukrainki i placu z monumentalnym pomnikiem tej poetki.

Wtorek 16 sierpnia

Od rana pada i jest zimno, ale zdążyłyśmy się do tego przyzwyczaić i wybieramy się na umówione spotkanie. Przed wizytą Basia kupuje upominki dla znajomych. Lokal Stowarzyszenia okazuje się zadbane i funkcjonalnie urządzone, a prezes p. Walenty Wakoluk – człowiekiem pełnym entuzjazmu, kipiącym energią i bardzo bezpośrednim. Wita nas serdecznie i żeby to jeszcze wzmocnić, wybiega i za chwilę wraca z butelką brandy i ciastkami. Pani Julia proponuje kawę lub herbatę. Robi się rodzinnie. Opowiadamy o naszych planach, ja o moim pragnieniu dotarcia do Przebraża i Koszyszcz. Pokazuję fotografie z Koszyszcz i przekazuję je razem z płytką. Pan Walek gorąco przejęty obiecuje nas dowieźć, jeżeli tylko uda się mu uruchomić samochód. Mamy wieczorem skontaktować się telefonicznie.

Po wyjściu ze Stowarzyszenia idziemy do baru na pieliemienia, czyli popularne pierożki z mięsem. Proponują do nich ocet lub keczup, ale rezygnujemy. Potem zaczynamy zwiedzać łuckie zabytki. Wchodzimy do cerkwi p.w. Św. Trójcy. Akurat przy bocznym ołtarzu trwa nabożeństwo i

słyszemy piękne śpiewy. Wokół przed obrazami i figurkami świętych pełno palących się cienkich świec. Ludzie wchodzą zapalają je, modlą się. I to nie tylko starzy, sporo jest młodych.

Dochodzimy do dawnej Starówki, w której zachowały się katedra katolicka, zabudowania klasztorne i zamek. Katedra p.w. św. Piotra i Pawła otwierana jest o 18., kiedy to odbywa się msza w j. polskim. Oczekując na to, obchodzimy ją ze wszystkich stron. Jest odnowiona, ale otoczenie wokół mocno zaniedbane. Po otwarciu oglądamy zabytkowe ołtarze, modlimy się. Zmarznięte i przemoczone decydujemy, że nie zostajemy na mszy, a wrócimy do hotelu, żeby się rozgrzać i nie pochorować.

Wieczorem p. Walek dzwoni, że dotąd nie udało mu się uruchomić samochodu, ale będzie jeszcze próbować.

Środa 17 wrzesień

Nie pada, ale jest szaro i chłodno. W siedzibie Stowarzyszenia p. Walek zmartwiony przeprasza, że samochodu nie dało się jednak naprawić, ale zainteresował naszą wyprawą ukraińską redakcję „Gazety Wołyńskiej” i załatwił, że nazajutrz redakcyjnym samochodem razem z młodą dziennikarką, która przy okazji przeprowadzi z nami wywiad, pojedziemy do dawnego Przebraża i Koszyszc. Dziękujemy za zajęcie się nami i ruszamy na dalsze zwiedzanie miasta. Jeszcze raz obchodzimy katedrę i zabudowania dawnej Kapituły jezuickiej, gdzie obecnie mieści się szkoła zawodowa. Z placu przed katedrą otwiera się widok na bramę i mury zamku Lubarta. Robimy zdjęcia i wchodzimy na dziedziniec. Po schodach docieramy do opasujących zamek murów, skąd przez okienka strzelnicze oglądamy panoramę Łucka i okolicy. W jednej z baszt, tzw. Władyczej jest ekspozycja dawnej broni i zabytkowych dzwonów, w innej muzeum drukarstwa. W gablotach widzimy starodruki, zwłaszcza modlitewniki, księgi liturgiczne, ale także stare wydania różnych książek np. poezji Puszkina, Szewczenki. Są także książki polskie. W jednej z gablot leżą obok siebie modlitewnik i manifest komunistyczny! W obrębie zamku jest także muzeum sztuki. Posiada ono dość bogate zbiory, głównie przejęte z dawnego muzeum polskiego. Są dzieła renesansowej szkoły włoskiej, malowidła Poussina i dużo obrazów polskich: portrety sarmackie, szczególnie przedstawicieli rodziny Radziwiłłów, obrazy Wojciecha Kossaka i malarzy Młodej Polski np. Fałata, Wł. Tetmajera, Szermentowskiego.

Po wyjściu obchodzimy mury Zamku od zewnątrz. W pobliżu znajduje się plac targowy. Kupujemy owoce i zapędzamy się w pobliskie peryferyjne uliczki, gdzie zachowało się trochę dawnej zabudowy, ale w stanie prawie że ruiny.

Wracając do centrum, zauważamy zabytkową aptekę. W gablotach oglądamy dokumenty polskie, dyplomy dawnego właściciela, a także stare wyposażenie. Potem uliczką schodzącą w dół obok polskiego konsulatu podchodzimy pod Kirchę, zabytkowy kościół luterański, o smukłej strzelistej sylwetce, bardzo „fotogeniczny” na zdjęciach i widokówkach z Łucka.

Czwartek 18 wrzesień

Od rana bardzo pada i jest jeszcze zimniej. Szkoda. Ale to pomaga mi wyobrazić sobie aurę, jaka była wg relacji Mamy i starszego rodzeństwa w Przebrażu w wyjątkowo mokrym i chłodnym sierpniu 1943 r. Ratując się ucieczką z Koszyszc w czasie nocnego napadu bandy UPA, w narzuconych w ostatniej chwili jakichś okryciach rodzina lasem przekradła się do Przebraża. Tu w obozie

samoobrony Ojciec podobnie jak inni mężczyźni pełnił nocne warty. W czasie jednej z nich przeziębił się i doszło do zapalenia płuc. W prowizorycznym szpitalu umierał, bo nie było lekarza, ani leków. Dzisiaj będę miała możliwość na tej ziemi uczcić jego pamięć.

W domu towarowym na ul. Łesi Ukrainki kupuję znicze. Potem spotykamy się z p. Walkiem, który prowadzi nas do Redakcji „Gazety Wołyńskiej” i zapoznaje z Wołodymyrem Danylukiem, młodym sympatycznym Naczelnym oraz też młodą i sympatyczną Oleną Liwicką, dziennikarką, która ma nam towarzyszyć. Oglądamy mapy, przedstawiam szkic Koszyszczy, kiedyś zrobiony przez brata.

Kierowca chłopięco wyglądający i wesoły nie zrażał się deszczem, wybojami i wielkimi bajorami błota, które pojawiły się już po wyjeździe z miasta. A im dalej, tym było gorzej. Skierowaliśmy się najpierw do Jeziora, znanej z opisów wsi ukraińskiej, życzliwej i pomagającej Polakom w czasie napadów. Tu dzięki telefonicznej akcji Oleny czekano na nas w wiejskim urzędzie. W budynku z zewnątrz dość zaniedbanym, ale w całkiem przyzwoitym pomieszczeniu na piętrze przy komputerach pracowały dwie dziewczyny. Jedna z nich przedstawiła się i wsiadła z nami do samochodu. Dzięki jej wskazówkom szybko dojechalismy do cmentarza w Przebrażu.

Inaczej wyobrażałam sobie to miejsce. Myślałam, że jest większy, zarośnięty, że będę przedzierać się przez zarośla, poszukując grobu ojca. Nie wiem, czy to lepiej, ale jest uporządkowany w taki schematyczny sposób. Kamienna płyta upamiętnia niektórych zamordowanych i tu pochowanych, są równo ustawione jednakowe cementowe krzyże i tylko kilka krzyży metalowych z nazwiskami na tabliczkach. Starsza siostra mówiła, że Ojciec został pochowany na końcu cmentarza, blisko lasku. Oczywiście nie ma śladu po jego grobie i drewnianym krzyżu z tabliczką. Zresztą obecny cmentarz jest mały i nie styka się z lasem. Zatrzymałam się przy stojącym na jego krańcu dużym drewnianym krzyżu, bez tabliczki, ale z zawieszonymi wieńcami, pewnie przez tych, którzy jak ja nie znaleźli grobów swoich bliskich i tu złożyli hołd ich pamięci. Tutaj zapaliłam znicze i pomodliłam się w intencji Ojca i innych gdzieś tu pogrzebanych.

Po opuszczeniu cmentarza towarzysząca nam urzędniczka zaproponowała wizytę u pamiętającej wydarzenia z czasu wojny Wiery Szulak. W starej rozsypującej się chatynce, której dach miejscami był uszczelniony ceratą, zastaliśmy kobietę mimo mocno podeszłego wieku zupełnie kontaktową, równie dobrze mówiącą po polsku co po ukraińsku. Widać było jej wzruszenie z rozmowy po polsku. Ale najwidoczniej z jakichś powodów nie chciała mówić za dużo, wspomniała tylko, że znała Polaków z samoobrony w Przebrażu, w tym jej dowódcę Henryka Cybulskiego, pytała o jego życie po wojnie. W Przebrażu, noszącym teraz nazwę Hajowe, zatrzymaliśmy się jeszcze przy stojącym, ale w stanie ruiny, budynku dawnej szkoły. Nie ma już ścian, podłóg, ale widoczne są jeszcze podziały na klasy.

Żeby dotrzeć do miejsca po Koszyszczach, nasi opiekunowie skontaktowali się z urzędem gromadzkim w Kulikowiczach. Zajął się teraz nami trochę korpulentny, pełen energii i chęci pomocy Starosta, jak określa się tu sołtysa. A dojechać tam to była wielka sztuka. Tak jak przed wojną nie ma tu dróg utwardzonych, tylko trakty, które po padającym od kilku dni deszczu zmieniły się w grząskie bajory. Jeszcze gorzej było, kiedy wjechaliśmy do lasu. W pewnym miejscu drogę zatarasowało nam zwalone drzewo i trzeba było zawracać i szukać objazdu. Dzięki wielkiej determinacji Starosty z Kulikowicz i kierowcy po kilku ryzykownych zakrętach ścieżkami między drzewami znaleźliśmy się przy Cmentarzu Legionistów w Koszyszczach. Jest on położony przy dawnej drodze z Kołek, na lekkim wzniesieniu dochodzącym do lasu. Nie ma ogrodzenia, ale przez jego środek prowadzi alejka do dużego czarnego kamienia z tablicą upamiętniającą poległych i białym kamiennym krzyżem. Stanowi to rodzaj kapliczki. Cmentarz jest odnowiony podobnie jak ten z Przebraża, ma

wyodrębnione groby i przy każdym też biały, choć mniejszy krzyż. Na ramionach wszystkich są białoczerwone szarfy.

Stąd już, jak to wiedziałam, było tylko 2 km. do dawnej osady. Wcześniej pokazywałam Staroście plan Koszyszcza, a on stwierdził, że wie, gdzie była szkoła i będzie mógł określić położenie naszego domu. Po kilkunastu minutach dojechaliśmy do dużej polany w lesie. Jej regularny zarys świadczy do dziś, że był to kiedyś teren wykarczowany do osiedlenia się i zabudowy. Dziwne uczucie zastać takie pustkowienie w miejscu, gdzie od końca XVIII w. w założonej przez przybyszy, głównie z Mazowsza, kolonii kiedyś trwało życie, gdzie rodziły się dzieci, ludzie pracowali i świętowali, gdzie były uprawne pola, pasło się bydło, kwitły ogrody i sady. Przed oczami miałam ciągle zdjęcia siedzących przed budynkiem dzieci z kierownikiem szkoły – Maćkowiakiem i nauczycielem, moim wujkiem Szadurskim, obraz jednej z klas z zapisanym na tablicy hasłem „Niech żyją Czwartacy!” oraz fotografię ubranych odświętnie w mundurki uczniów na przyjęciu zorganizowanym przez IV pułk piechoty w czasie wycieczki do Kielc, ufundowanej w podziękę za opiekę nad cmentarzem legionistów. Bo tu toczyły się zacięte walki i wielu z nich poległo. Znane jest zdjęcie Piłsudskiego w obozie pod Koszyszczami. Teraz gdzieś tam rosną tu tylko małe sosenki i brzoźki, kępy wrzosów i wysoka, pożółkła trawa. Z trudem patykami wygrzebałam garstkę ziemi i na pamiątkę zerwałam jeszcze kwitnące gałązki wrzosu. Byłam wdzięczna całej ekipie za pomoc w dotarciu do tego miejsca i dyskrecję w stosunku do moich przeżyć.

Piątek 19 wrzesień

Dalej pada. Ale nie rezygnujemy z planu wycieczki do Krzemieńca. Przed udaniem się na dworzec autobusowy kupujemy po bombonierce dla Oleny i dla kierowcy oraz butelkę brandy dla Naczelnego „Gazety...” i idziemy do Redakcji podziękować za wszystko, co dla nas zrobili. Nasza wdzięczność wyraźnie sprawia im radość; są zadowoleni, że mogli nam pomóc. A Wołodimir na nasz podarunek odpowiada wyciągnięciem z szafy dużej butelki „Korolskiego Banketu”, czyli wódki produkowanej w Łucku. Jako że mam mały plecak, przyjdzie mi czuć tę butelkę przez cały dzień na plecach. Kiedy wychodzimy z Redakcji, znowu okazuje się, że nikt nie wie, jak dojechać na dworzec autobusowy, musimy więc wziąć taksówkę.

Do Krzemieńca jedziemy około dwu godzin. Cały czas w deszczu. Wrażenia podobne do tych w drodze ze Lwowa, ale pejzaż staje się bardziej urozmaicony, rozfalowany, aż wjeżdżamy w wąską wydłużoną dolinę niewielkiego potoku, w której leży to miasto. Potoku na razie nie widzimy, będziemy go przeskakiwać później, wspinając się na Górę Bony. Dworzec krzemieniecki, budynek po starej synagodze, położony jest dość daleko od centrum miasta, jedziemy więc tam marszrutką.

Po obu stronach głównej ulicy, dawniej Szerokiej, a obecnie Szewczenki, rozciągają się wzgórza. Teraz łatwo zrozumieć zachwyty nad urokiem Krzemieńca. Szczególnie malownicza jest góra Bony z ruinami zamku. Wszystkie uliczki boczne też wspinają się pod górę. Jedną z nich dochodzimy do dawnego dworku Słowackich, od 2003 r. Muzeum wieszczą Juliusza, otwartego dla upamiętnienia 195. rocznicy Jego urodzin. Przed Muzeum na postumencie znajduje się popiersie poety. W kameralnych, jak to bywało w dworkach, pokojach są stare meble, portrety rodziców poety i jego samego z różnych okresów życia. Wśród nich te często reprodukowane, wykonane przez wileńskiego malarza Jana Rustema. W gablotach są tomiki wierszy bądź fotokopie utworów, harmonizujących z nastrojem sali. Np. w jednej, kojarzącej się z komnatą pani Salomei, gdzie na poręczu krzesła przerzucony jest koronkowy szal, jakby przed chwilą przez Nią zdjęty, można przeczytać wiersz „Rozłączenie”.

Po wyjściu z Dworku oglądamy, na razie z boku, pojezuickie budynki sławnego Krzemienieckiego Liceum. Potem schodzimy ulicą Szeroką i wchodzimy na jego dziedziniec. Obecnie jest tu jakiś zespół szkół. Na środku oczywiście popiersie Szewczenki. Budynki dość zaniedbane, chociaż w relacji Basi w lepszym stanie niż kiedy je widziała przed kilku laty. Dawny kościół licealny, teraz cerkiew, akurat jest w remoncie, więc nie mogłyśmy go zobaczyć. Ale otwarty był rzymskokatolicki Kościół parafialny z XIX w., w którym znajduje się sławna płaskorzeźba w brązie, wykonana w 1909 r. przez Wacława Szymanowskiego w związku ze 100-leciem urodzin Juliusza Słowackiego. Przedstawia zamyślonego wieszczka i podpisana jest słowami Jego zaklęcia „Niech żywi nie tracą nadziei!”. Z ulicy Szerokiej dobrze widać dawne kościoły i cerkwie. Ich piękne sylwety są niestety często zeszpecone przez kolory elewacji. Przeważają ostre żółcie, zielenie lub jaskrawe błękity.

Mimo przemoknięcia decydujemy się wejść na Górę Bony. Wdrapujemy się najpierw wąską stromą i co gorsza śliską, błotnistą ścieżką, od czasu do czasu przeskakując przez niewielki potok (czyżby to on wyżłobił dolinę, w której leży Krzemieniec?). Basia co pewien czas schyla się po jakiś kamień, boć to przecież te charakterystyczne krzemienie, którym miasto zawdzięcza nazwę. Po drodze mijamy kilka starych domów, potem wchodzimy na szerszą, choć też stromą i błotnistą drogę. Wraz z podchodzeniem pod górę odsłania się coraz bardziej efektowny widok ruin zamku i rozleglejsze piękniejsze widoki na Krzemieniec i okolicę. Wreszcie jesteśmy na szczycie. Tabliczka informuje, że obowiązują tu bilety, ale ani śladu kogoś, kto by je sprzedawał i sprawdzał. Za to na wąskiej ścieżce nad stromym zboczem pasą się kozy. Oglądamy resztki murów i wąską ścieżką obchodzimy szczyt od strony miasta. Stok Góry opada tu bardzo stromo i musimy uważać, żeby nie spaść w dół. Ale widok jest godzien wysiłku i ryzyka. Robimy zdjęcia, a potem tą samą drogą schodzimy na dół.

Chociaż zmęczone, wyruszamy jeszcze do Cmentarza Tunickiego, gdzie pochowana została matka Juliusza. Szlak prowadzi przez wąski, porośnięty starymi drzewami jar. Po drodze widoki jak na romantycznych obrazach. Szybko udaje się nam odnaleźć grobowiec Januszewskich i pokłonić prochom pani Salomei. To stąd wzięto ziemię do czarnej urny wzorowanej na tej z Jej nagrobka i złożono ją w niszy na Wawelu obok nagrobka Syna.

Ostatnim bardzo zatłoczonym autobusem przyszło nam wracać do Łucka. Musiałyśmy stać w przejściu. Obok dwie panie: jedna młodsza, druga starsza, obie raczej "puszyste", siedziały wygodnie i częstowały się mieszanką kandyzowanych owoców. Już miałam powiedzieć, że takim to dobrze: siedzą i delektują się smakołykami, gdy nagle młodsza zwróciła się po polsku proponując, abym położyła plecak na jej kolanach. Okazało się, że obie panie pracują na Uniwersytecie Łuckim, starsza jest kierownikiem katedry filologii polskiej, a młodsza doktorantką literatury porównawczej, ze szczególnym uwzględnieniem literatury polskiej. Jako że obie dobrze znały twórczość naszych pisarzy wywiązała się żywa rozmowa.

Mimo późnego przyjazdu do Łucka w hotelu spakowałyśmy z grubsza nasze bagaże, bo nazajutrz rano wyruszamy do Lwowa, a stąd w drogę powrotną do Krakowa.